



JULIAN TUWIM

Zapomniane — zagubione

Julian Tuwim był jednym z najpracowitszych pisarzy naszej epoki. Płodny poeta, satyryk, tłumacz, twórca wielu czarujących utworów dla dzieci, twórca wielu najświetniejszych tekstów estradowych i adaptacji scenicznych, zbieracz i wydawca zapomnianych pisarzy polskich, miłośnik humoru we wszystkich jego różnorodnych przejawach — żył niemal wyłącznie swoją pracą. Nie było w niej szkolarskiego pedantyzmu, bezgranicznego zapa-

Zbigniew Mitzner

trzenia się w siebie samego. Przeciwnie — wielki poeta interesował się innymi, pytał zawsze o każde nowe nazwisko, pojawiające się na horyzoncie literackim, a już nowy, młody satyryk mógł zawsze liczyć na dobrą radę tego starszego, wielkiego kolegi.

Tuwim często telefonował do ludzi, których lubił. Radził się, wypowiadał swoje opinie, rzucał projekty, krytykował, chwalił lub ganił ukazujące się nasze utwory, o których sądził się nieraz, że nie zasłużyły na to nawet, by je zechciał przeczytać.

Niedziwne, że przy takim życiu, życiu pełnym i bujnym niezależnie od stanu zdrowia, nie jeden utwór uległ zapomnieniu dla samego poety. Przypomnieć warto, że w powojennym jego zbiorze satyr, który ukazał się w bibliotece „Szpilek” pt. „Piórkiem i piórkiem”, zabrakło jednego cennego utworu przedwojennego. Tak na przykład zabrakło dwóch świetnych politycznych fraszek, które nie mogą zostać zapomniane, choć o nich sam twórca zapominał. Musimy je od zapomnienia ocalić.

Pierwsza z tych fraszek otwierała pierwszą kolumnę utworów Tuwimowskich w „Szpilekach” z dnia 10 maja 1936 roku. Brzmi ona tak:

„Lipa” w gwarze warszawskiej — kicz, nabieranie, oszustwo, tandeta.
Pan kancierz jest jarochem.
Herbatkę lipową,
jak czytałem w gazecie,
z panem Lipskim piją.
Potem pan Lipski chodzi
z bardzo ciężką głową
pod lipami. I źle mu.
Lipa się odbija.

Lipski — to ówczesny ambasador sanacyjny w Berlinie. Sens fraszki, gdy zwiążemy ją z datą — nie pozostawia żadnej wątpliwości.

Druga fraszka posiada sens jakże aktualny dzisiaj w dobie walki przeciwko militarystyce Niemiec, w dobie walki ze zdrajcami Francji. Zamieszcza ją poeta również w „Szpilekach” w dwa tygodnie później.

Z kim idziemy? Rzecz nie warta wzmianki i zawałać się nawet — to wstyd.
Posłuchajmy Marsylianki! Marsylianki!
a potem — Horst-Wessel-Lied

Kochana Janeczko!

Nie odpisywałem na Twój list, przywieziony przez Lange go, bo zdawało mi się wtedy (latem), że nie miesiaję, lecz tygodnie mego pobytu w Ameryce są policzone i że wkrótce do was przyjadę. Ale okazało się, dla wielu powodów, że tę podróż trzeba odłożyć — nie na bardzo długo wprawdzie, ale bądź co bądź na kilka (dał by Bóg, żeby nie na kilkanaście) miesięcy, postanowiłem więc nie czekać zbyt długo na nasz kontakt osobisty — i wysłałem list. Tym bardziej, że się dobry i pewny sposób przesłania listu trafił.

Moja droga! Od czego zacząć? Chyba od tego, że się do was rwe. Nieraz sobie myślę, że powinienem być od początku być z wami i brać czynny udział w realizacji tej „zawietnej miłości” mego życia, jaką jest przyjaźń polsko-sowiecka. Trzeba było wtedy, 5 września 1939 r., pojechać do Pińska, nie do Kazimierza — wtedy zapewne dzieliłbym z wami wszystkie dole i niedole ucieczki i wędrówki, może więcej cierpiałbym fizycznie (co dla starzejącego się i niezbyt silnego faceta byłoby ciężką sprawą), ale te wszystkie ewentualne trudy, mogłyby nawet niebezpieczeństwa, sprawiłyby, że znalazłbym się tam, gdzie jest moje miejsce właściwe: między Moskwą i Warszawą, nie nad rzeką Hudson, od której tak daleko do Wisły i Pilicy. Wiem, że dym pogorzeł i trupi zaduch wieje teraz od tamtych stron, ale wieja i takie aromaty, taka świeżość starych, ukochanych pól i nowych czasów, jakich nie na świecie nie zastąpi. Moja ucieczka z Warszawy i wszystko, co po niej nastąpiło, było przypadkiem, niespodzianką, rezultatem przyjaznych lub nieprzyjaznych zbiegów okoliczności.

Zresztą nie tylko w rocznikach starych pism znajdziemy go prawdziwego, najbardziej prawdziwego. I w jego tomach, gdy je na nowo dokładnie odczytamy. Przeczytajmy choćby w połowie wiersz „Walka”. Stary to wiersz, gdzieś jeszcze z lat dwudziestych, a brzmiący jak-że wymownie:

Pała się w moim wzroku,
miliardy waszych dolarów,
popiół sypie się szary
z pychy głupich sztandarów.

Wznosicie nowy babilon,
a rządzi planem budowy
bies: bratobójca, idiota,
Stinnes tysiącpudowy.
Więc rozpaloną niemocą
i usy fanatycznymi
zmiałam, o ślepcy nieszczęśli,
babilon z oblicza ziemi.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Elegia na śmierć Juliana Tuwima

Pod kominami i dymami,
na które Ty patrzyłeś,
codziennie idę ulicami,
którymi Ty chodziłeś.

Nie widzę Cię w żałobnym prochu
choć w trumnie leży ciało:
Tu jeszcze echo Twoich kroków
i pieśni nie przebrzmiało.

Dzieciństwo Twoje na ulicy
Andrzeja jeszcze mieszka
i młodość Twoja z kamienicy
wychyla się jak wieszczka.

I cała w dymów łódzkich smudze
gdy wiersz Twój rozmarzy,
spotykam tutaj Twoją muzę —
przódkiem o zwykłej twarzy.
Szkoda, że pieśń Twa się urwała
o kół ją, kół dośpiewa,
gdy na Twych ustach oniemiała,
jak szum zmarłego drzewa?

Ty — pieśni czarnolesska, szczerą,
ptaku, gwiazdo, jutrzeńko!
Gdy zgasił poeta, z nim umiera
niepowtarzalne piękno.

Gdy Armia Radziecka wkroczyła na nasze ziemie, a w Lublinie działał pierwszy rząd wyzwolonej Polski — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego — Julian Tuwim znajdował się na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Z tego okresu datuje się drukowany przez nas list, udostępniony przez adresatkę, Janinę Broniewską. List ten mówi o jasnej i bezkompromisowej postawie zmarłego poety, który już wówczas, wbrew antypolskiemu i antyradzieckiemu jazgotowi emigracyjnych wsteczników, zdecydowanie opowiedział się po stronie rodzącej się Polski Ludowej, gorąco poparł jej politykę przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim i aktywnie działał na rzecz jej sprawy.

List drukujemy za „TRYBUNĄ LUDU”.

Zaniosło mnie najpierw do Paryża, potem do Portugalii, następnie do Rio de Janeiro (cud nad cudy), wreszcie do New Yorku. Mogło tak samo zanieść do Londynu (dzięki Ci, Panie Boże, że nie zaniosło), do Kalkuty lub afrykańskiej wioski Kidugale Njamba. Ale powinno było, powtarzam, rzucić mnie do Rosji.

Jestem więc od maja r. 1941 w New Yorku. W miesiąc po moim przyjeździe tutaj, szubrawcy napadli na Sowietów. I gdy tę wieść podało radio — błyskawicznie zrozumiałem, kądędy prowadzi droga do Warszawy. Wiesz dobrze, jakie wówczas były w społeczeństwie amerykańskim, a specjalnie wśród uchodźców z Polski, nastroje, że Hitler po sześciu tygodniach będzie w Moskwie.

Matuszewscy zaczęli z radością łapy, które im jeszcze parę lat przedtem puchły od bicia oklasków na warszawskim odczycie Goebbelsa. W swojej fanatycznej wierze, że nie Hitler wejdzie do Moskwy, ale Stalin do Berlina, byłem wtedy zupełnie osamotniony, a początkowo porażkę Rosjan niczem, zdawało się, nie usprawiedliwiał mego optymizmu. Po dwóch miesiącach, w czasie największych „tryumfów” Hitlera na wschodnim froncie, posłałem depeszę do Erenburga — depeszę pełną wiary w przyszłość zwycięstwa Armii Czerwonej. — Dostałem od niego i od Fadiejewa długą, serdeczną odpowiedź. Następną depeszę do Erenburga posłałem w sierpniu r. 1944, przypominając mu tamtą, sprzed trzech lat.

Zacietrzewieni nienawistnicy antysowieccy zaczęli tu na tnie krzywo patrzeć: sama wiara, że Sowiety pobiją Hitlera, uchodziła tu za pierwszy stopień do zdrady. Na dobre zaś zostałem „zdrajca” i „agentem Stalina”, gdy jesienią r. 1941 pojechałem do Detroit i Chicago na zaproszenie związków robotniczych. Muszę się pochwalić: byłem entuzjastycznie przyjmowany; czytałem wiersze, wygłaszałem przemówienia. Utworzyłem zacząłem drukować w pismach naszych przyjaciół, a do „Wiadomości Polskich” w Londynie telegrafowałem, aby się nie ważyły ani słowa mojego drukować. No i gruchnęła wieść po uchodźczych „sfe-

rach” i konsulatowych spelunkach: agent Moskwy. Wiosną r. 1942 dostałem „historyczny” list od Lechonia: że zrywa ze mną stosunki osobiste. Zerwał też ze mną, choć bez listu, Kazimierz Wierzyński. Zaczęli się bojkoty towarzyscy, projekty powieszenia mnie, szkalowanie i judzenie, nie tylko przeciw mnie, ale i przeciw mojej żonie, z Londynu zaczęły napływać „ostrzeżenia” i „upomnienia”, że bym „przestał”, „opamiętał się”, potem przyszły nawet groźby, że „mogę sobie zaszkodzić”. W tym samym czasie utworzyła się mała grupa ludzi, podzielających moje przekonania, skupiliśmy się koło Langego, wydaliśmy „Apel do rozsądku”, który wywołał nową burzę oszczerstw i napaści — wreszcie w listopadzie r. 1943, przyszedł słynny wiec w Town Hall, gdzie wystąpiłem wraz z Langem i Orlemańskim. Po tym wiecu zaczęli ze mną zrywać ludzie, którzy bym jeszcze na parę lat przedtem nie podejrzewał o taką głupotę i małoduszność.

— Wybacz mi, Kochana Janeczko, że tyle miejsca poświęciłem sprawie osobistej, ale w tym właśnie sedno, że to nie całkiem osobista sprawa. Jest ona znakomitym przykładem do metod postępowania londyńskich „demokratów”.

Rozwój i daty wydarzeń trudno przewidzieć, ale jest rzeczą możliwą, że gdy ten list dojdzie do Twoich rąk, londyński rząd nie będzie już istniał a Stany Zjednoczone nawiążą już oficjalne stosunki z rządem w Polsce. Wtedy przyjadą tu jego przedstawiciele — i nareszcie ciemność będzie stała, normalny kontakt z wami. Ale sprawa może się też przewlec — i komunikowanie się z wami nadal będzie luźne i przypadkowe. Trzeba zrobić wszystko, aby w tym drugim, niepożywanym wypadku, nastąpiło wzmocnienie i utwardzenie stosunków między wami a nami — między tym gronem obywateli polskich, którzy są wam ideowo bliscy, a wami samymi: Komitetem Wyzwolenia, Związkiem Patriotów, organizacjami pomocy, stowarzyszeniami kulturalnymi — słowem, z całością waszych działań i wysiłków. Jak już zaznaczyłem, jest nas tymczasem szczupłe grono, ale będzie nas coraz więcej, co się stopniowo już staje. My, jak zresztą i nasz wrogowie, nie jesteśmy we własnym uchodźczym sosie, ale utrzymujemy żywy kontakt z obywatelami amerykańskimi polskiego pochodzenia. Wiadomo ci zapewne, że organizatorami i kierownikami hecy antysowieckiej i antylubelskiej na amerykańskim gruncie są reakcyjni i profaszystowscy uchodźcy z Polski (z Matuszewskim na czele), nie zaś Amerykanie polskiego pochodzenia. Oczywiście, że wśród tych ostatnich także są mściwicy i wszelkiego pokroju retrogrady — ale sztab planujący działania i rzucający hasła, to nasi starzy znajomi z Warszawy.

Otóż zadaniem naszej grupy jest przede wszystkim walka z tym sztabem, rozporządzającym większością polskiej prasy, pomocą konsulatów i instytucji rządowych (jak np. Polish Information Center, Agencja Katolicka etc.), a także stosunkami z reakcyjną opinią amerykańską i jej prasą. Abw ta walka była skuteczna, a wreszcie stała się zwycięska, konieczny jest ścisły związek, bardziej planowa i celowa koordynacja poczynań. Mówię naturalnie, tylko o takich sprawach, które tutaj, w Ameryce, mogą Polsce przynieść korzyść, bo nie mam zamiaru posyłać wam z oceanu „rad i wskazówek”, jak

macie postępować na własnym swoim terenie. O tym wy lepiej wiecie. My, zaś lepiej od was wiemy, co można i co należy zrobić w Stanach Zjednoczonych. Wniosek: powinno tutaj powstać nieoficjalne przedstawicielstwo Komitetu — i ono wyłącznie, nie zaś przygodni a nieraz nieodpowiedzialni informatorzy i „działacze” (nomina sunt odiosa) niechaj z wami współpracują dla dobra kraju. Skład personalny takiego przedstawicielstwa „ciała doradczego”, mógłby zaproponować Oskar Lange.

A do zrobienia jest mnóstwo rzeczy — i będzie coraz więcej. Zwalczanie uchodźczej reakcji jest tylko drobną częścią naszych zadań. Pamiętajcie, że ci ludzie, nawet gdy będą odsunięci od władzy (jeżeli o czynnikach rządowych mowa) lub gdy będą mieli mniejsze możliwości działania jako publicyści i mówcy wiecowi — ci ludzie „zejdą w podziemia”, będą wszelkimi sposobami szkodzić wam, podgrzywać młode korzonki nowej Polski, aby ją skompromitować przed Amerykanami. Pamiętajcie, że grozi też niebezpieczeństwo ze strony rozmaitych koni i kucyków Trojańskich, które w ostatniej chwili przeskoczą na naszą platformę — po to tylko, aby ją zanieczyścić starym swoim łajnem. A my, w ciągu paroletniego pobytu w Ameryce, dobrze te typki znamy i dobrze wiemy, co w ich zgnieł trawie piszczy. Matuszewski i jego szajka jest mniej niebezpieczny, niż ta śliska swolocz. Bądźcie więc bardzo ostrożni, gdy w przyszłości przyjdzie do obsadzania stanowisk (w tutejszej ambasadzie, w konsulatach itd.). Jeżeli kładę tak wielki nacisk na przyszłość personalia, to nie bez ważnego powodu. Niedobitki polskiego faszystwu zrobią wszystko, aby uderzeniem pomoc Ameryki dla Polski. Hasłem ich będzie: „Im gorzej w Polsce, tym lepiej dla nas”. Jak największa „Schadenfreude” będzie ich jedynym celem. Więc całą parą przygotowuj się do realizowania tych nikczemnych zamysłów — i już teraz mamy przedsmak tego, co będzie w przyszłości: leżą tutaj olbrzymie składy odzieży, przeznaczone dla Polski, ale nie wysyła się ich (choć Russian War Relief podjął się wysyłać), bo to „pójdzie dla bolszewików” (tj. na tereny uwolnione przez Sowietów). „Pomocą amerykańską” nazywam nie tylko tę urzędową, którą przywiezie UNRRA — ale w równej i niemniej ważnej mierze pomoc natury prywatnej: związków, stowarzyszeń, instytucji naukowych i artystycznych, nawet poszczególnych jednostek. Ta akcja, równoległa do urzędowej, może dać olbrzymie rezultaty. Literaci mogą przyjąć z pomocą literatom, aktorzy aktorom, lekarze lekarzom, biblioteki bibliotekom etc. etc.). Ale trzeba to zorganizować a przede wszystkim trzeba wytrwać szczerze, które te nasze wysiłki, dla swojej szczerzej wygody, będą u podstaw podgrzywać. Wiemy, kto to robi — wiedzieliśmy, jak z tym walczyć, ale nie mamy tymczasem dostatecznej broni dla przeprowadzenia skutecznej kampanii. Sztabowi faszystowskiej padliny, trzeba będzie przeciwstawić sztab rozumnych, demokratycznych, nowych ludzi.

Drozy przyjaciele! Piszę ten list do Janki Broniewskiej, ale jest on dla was wszystkich — dla was, którzy w Moskwie i Lublinie podnosicie Polskę z gruzów i kładziecie fundamenty pod Jej nowe życie. Nie zlekceważcie, proszę, tego co powyżej napisałem. Postarajcie się jak najprędzej przysłać tu, tymczasem nieoficjalnie, jakąś delegację, choćby niewielką, abyśmy mogli omówić z wami sprawę wspólnego działania dla dobra Polski. Mówię o konkretnej, rzeczowej, „przedmiotowej” pomocy, nie o ideologiczno-programowym pustostawieniu i historyzowaniu belkotach, uprawianych przez tutejszych jagielonidów. Korespondencja nie jest załatwimy. W czasie tej wizyty, o której my wszyscy tutaj marzymy, ustaliłoby się skład owego „ciała doradczego” i można by było zacząć robotę.

JULIAN TUWIM

244 West 72 nd Street, apt 7A New York, 23 N. Y.

*) Nawet dziecię dzieciom!

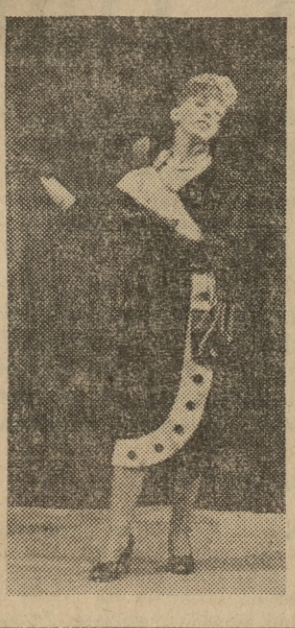


Cz4239/dod. 1954

Z Teatru Satyryków

Istniejący dopiero od trzech miesięcy Teatr Satyryków zdobył sobie w Poznaniu stałe prawo obywatelstwa, wykazując, jak bardzo była potrzebna placówka tego rodzaju.

Nowy program teatru satyrycznego — „Odfajkowane!”, cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Wśród wykonawców na wyróżnienie zasługuje utalentowana aktorka poznańska A. Sobolewska, którą widzimy jako „Plo-clu-charę” na reprodukowanym obok zdjęcia. Jej występ wzbudza, jak i inne skecze i monologi — huragany śmiechu.



Zapomniany jubileusz „Lirnika wioskowego”

Henryk Barański

W roku bieżącym mija 130 lat od urodzin pisarza-demokraty Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza — 1823—1862).

Imię Syrokomli, który z całej duszy nienawidził pańszczyzny i eksploatatorów, oraz był pieśnią niedoli ludu, nie mogło cieszyć się uznaniem i popularnością w dworach obszarńskich na Litwie, gdzie spędził całe swe pełne niedoli życie. W salonach ziemiańskich nie było na stołach ani w bibliotekach utworów Władysława Syrokomli. Natomiast mieszczaństwo i zubożała „chładcza” szlachta uwielbiała Syrokomlę.

Młodzież postępową w Wilnie za czasów caratu deklamowała utwory Syrokomli na równi z Mickiewiczem. Kiedy wyrażono Kondratowiczowi (bo tak było jego nazwisko) współczucie z powodu prześladowania ze strony zaradnictwa carskiego, poeta pisał:

„Nie tłuściej mej głowy,
Bom ja lirnik wioskowy.
Skonam grając na lirze”

A na innym miejscu w przesłannym poemacie „Jan-ko Cmentarnik” Syrokomla mówi:

„Ludu! mnie z tobą pobraty
I chleb, i czarka, i lzy, i pacie-
W tem moja chiuba, w tem cała
Zem zapamiętał, jak twe serce
Oni by radzi widzieć w pieśni
Piękną sielankę do pańskich
Wioskowy lirnik powtarza jedy-
Taką piosenkę, jaka z echem
I płynie.”

Kiedy w 1861 roku wyszedł na ulice Warszawy lud, aby demonstrować przeciwko caratowi, Syrokomla wyjechał tam niezwłocznie, by włączyć się do ruchu rewolucyjnego i bezpośrednio brać w nim udział. Po powrocie do Wilna został aresztowany i

W Poznaniu powstaje Sekcja Satyry

Przy poznańskim oddziale Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL utworzono ostatnio Sekcję Satyry i małych form. Sekcja postawiła sobie ambitne zadanie uchwycić w nurt organizacyjny samorodną i rozstrzeloną dotychczas, lecz coraz bardziej zasługującą na uwagę twórczość satyryczną w Poznaniu. Posiedzenia Sekcji będą otwartymi warsztatowymi naradami satyryków, odbywanymi przy współudziale osób interesujących się tą dziedziną twórczości. Pierwsze posiedzenie, które odbędzie się już w najbliższym tygodniu, poświęcone będzie projektowi zastosowania nowych form publikacji utworów satyrycznych w prasie.

Bierzemy udział w walce o plony

Prof. dr Stefan Barbański

Zasadniczym wyrazem stosunku nauki do praktyki w ustroju socjalistycznym jest jedność. Tyczy się to także i nauki rolniczej. Najrealniejszym sprawdzianem osiągnięć naukowych w rolnictwie jest oparty na tych osiągnięciach postęp w gospodarstwie rolnym.

Nie znaczy to, że badania naukowe rolnicze o charakterze teoretycznym nie posiadają wartości. Mają one jednak tym większą wartość, im szerszą stanowią podbudowę pod gałęzie nauki o charakterze bardziej praktycznym. Ale i w tym przypadku, chociaż pośrednio, ostatecznym sprawdzianem teorii naukowych jest praktyka.

Wyższa Szkoła Rolnicza w Poznaniu rozwinęła szereg sposobów oddziaływania na praktykę rolniczą. Kształcenie kadr fachowców w dziedzinie rolnictwa, ogrodnictwa, zootechniki, leśnictwa i technologi drewna jest obecnie znacznie powiększone. Obejmuje ono około 2.600 studentów, co w porównaniu z okresem międzywojennym oznacza wzrost 5—6-krotny. Liczba katedr i zakładów naukowych wzrosła podwójnie i wynosi około 50. Wzrosła kilkakrotnie liczba pracowników nauki, zwłaszcza pomocniczych sił naukowych. Kształci się szereg nowych samodzielnych pracowników naukowych. Aparat naukowy jest znacznie w porównaniu z przedwojennym powiększony, chociaż jeszcze niedostatecznie zaopatrzonej w materiałną bazę, a więc w budynki i uzbrojenie laboratoryjne.

Jedna książka co 16 godzin

Uczelnia nasza oddziaływała na życie gospodarcze nie tylko kilku setkami dyplomowanych inżynierów i magistrów rolniczych, którzy idą na różne, nieraz odpowiedzialne placówki do zakładów naukowych w instytucjach, do Państwowych Gospodarstw Rolnych, Państwowych Ośrodków Maszynowych itd., ale także szeregiem publikacji naukowych i popularnych. Zarówno jednych jak i drugich wydaje się obecnie znacznie więcej niż przed wojną. Wystarczy powiedzieć, że naukowe czasopisma rolnicze są kilkakrotnie więcej rozburowane, a Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne wydaje przeciętnie 1 książkę rolniczą co 16 godzin. Wkład naszej uczelni w wydawnictwach tych jest znaczny.

Z wydawnictw rolniczych zbyt mały udział mają jednak broszury popularne, ulotki, afisze i gazetki ścienne. Brak jest również rejonowej prasy rolniczej. Kraj nasz nie jest bardzo duży, ale odznacza się znaczną różnorodnością warunków glebowych i klimatycznych. Chciałoby w obrębie naszego województwa mamy tak różnorodne rejonu jak ciężkie ziemie krotoszyńskie, gleby piaszczyste — gliniaste większości województwa, niziny nadobrzańskie itp. A w granicach całej Polski są tak odmienne rejonu, jak Pomorze z chłodnym latem i znaczną ilością opadów, Wielkopolska i Kujawy z powtarzającymi się często suszami. Śląsk z jego przeważnie dobrymi warunkami glebowo-klimatycznymi. Podgrze z krótkim okresem wegetacyjnym i licznymi opadami i wschodnie dzielnice z późnymi przymrozkami wiosennymi i wczesnymi jesieniami.

Otóż ze względu na specyficzne potrzeby poszczególnych rejonów prasę rolniczą należy rozbuďować, a w Wielkopolsce nie mały udział w niej winna włąć nasza uczelnia.

Trzeba szybko odrobić zaległości

W popularyzacji nauki we wszystkich dziedzinach byliśmy słabi przed wojną. Nie było także dostatecznej liczby odbiorców, gdyż znaczna część społeczeństwa nie posiadała wystarczających środków na kupno wydawnictw, a poza tym było wielu analfabetów. Dziś już tysiące bibliotek i czytelników, zaopatrzonych często w światło elektryczne, oczekuje na wydawnictwa analfabetyzm jest zlikwidowany, rośnie liczba ludzi spragnionych wiedzy. Trzeba szybko odrabiać zaległości. Ale popularyzacja wiedzy nie jest

łatwa i trzeba sporo pracy włożyć, ażeby należycie zaspokoić krajowe potrzeby.

Uczelnia nasza brała w zeszłym roku pewien udział w organizowaniu paru powiatowych wystaw rolniczych, które stanowią doskonałą okazję do rozpowszechnienia wiedzy. W przyszłym roku wystawy powinny stać się ważnym ośrodkiem propagandy wiedzy rolniczej. Udział wyższych uczelni rolniczych i Instytutów naukowych w organizowaniu tych wystaw winien być jak największy. Wystawa rolnicza uczy właściwie, gdyż uczy pogłębienie. Rolnik lubi zawsze coś zobaczyć i to mu więcej przemawia do przekonania. Słowo jest środkiem propagandy nie wystarczającym. Dlatego też i rola filmu naukowego, w którym słowo spłata się z obrazem, jest bardzo duża.

Więcej kontaktu z terenem

Bezpośrednie zetknięcia naukowców z praktykami są niezmiernie potrzebne dla obu stron, ale z natury rzeczy ograniczone. W ubiegłych latach naukowcy Wyższej Szko-

ły Rolniczej stykali się niefrekwentnie z rolnikami-praktykami. Pod stałą opieką uczelni znajdują się spółdzielnie rolnicze w Tarnowie, Turostowie i Nieczajnej. Pomoc ta polega na badaniach gleboznawczych terenu tych gospodarstw, planowaniu płodozmianów, dostarczaniu niektórych nasion oraz wskazywaniu fachowych. Opieka dotyczy również zwierząt gospodarskich, ich racjonalnego żywienia i leczenia oraz pielęgnacji.

Współpraca z dalszymi 23 spółdzielniami nie miała charakteru stałego, lecz raczej dorywczy i obejmowała taką działalność jak opracowanie planów nawożenia, ekspertyzy iak, przegląd kontraktowanych upraw roślin oleistych, planowanie, sadzenie, cięcie i prześwietlanie sadów, porady agrotechniczne, udział w akcji bilansowej itp. Prace te były wykonywane bezpośrednio w terenie przez pracowników naukowych WSR w szczególności Zakładów: Sadownictwa, Ogólnej Uprawy Roli i Roślin, Roślin Przemysłowych, Polityki Agrarnej i Chemii Rolnej.

Innego typu współpracą z praktyką było organizowanie i przyjmowanie wycieczek, urządzanie zjazdów, kursów i konferencji. Należy tu podkreślić prace Zakładu Roślin Przemysłowych, który obsłużył 19 wycieczek spółdzielców i indywidual-

nych rolników, plantatorów kontraktowanych upraw roślin oleistych, instruktorów i agronomów PGR i POM i prace Zakładu Hodowli Roślin i Nasienictwa, który zorganizował trzy kilkuniedniowe kursy i konferencje z zakresu doświadczalnictwa dla terenowych pracowników warszawskiego, ochrony roślin i odmianoznawstwa oraz zjazd dla agronomów i specjalistów z całej Polski w celu podniesienia bazy paszowej, w szczególności upraw lubinu. Kilkudziesięciu pracowników naukowych WSR prowadzi także w ramach Działu Upowszechnienia Wiedzy Wojewódzkiej Rady Narodowej wykłady lektorskie wojewódzkie i powiatowe dla instruktorów i państwowej służby rolnej.

Wyższa Szkoła Rolnicza posiada już zatem sporo praktyki i dorobku w różnych formach współpracy z krajowym rolnictwem. Pracownicy naukowci WSR zdają sobie jednak sprawę, że w myśl też II Zjazdu PZPR na zasadzie dotychczasowych doświadczeń wybrać należy najskuteczniejsze formy tej współpracy i należyć wszystkie siły, ażeby swą wiedzą oddziaływać w kierunku wzmocnienia naszej produkcji rolniczej. Należy stanąć ramie przy ramieniu z przodownikami produkcji na wsi i milczurnikami i wspólnym wysiłkiem dokonać postępu niezbędnego dla całej naszej gospodarki narodowej.

Spotkamy się w nowej i żywej

Janusz Biniek

Wszyscy skupili się wokół starego kredensu, który tutaj, w tarnowskiej świetlicy, imitował stół. Właściwie jest to połowa kredensu, ta z oszklonymi drzwiczkami, które porbrzkiwały jękiwie i lekko przewodniczącą tracił je kolaniem.

— Ot, stara szyfonierka po prababci — rzuciła któraś z dziewcząt.

— W ogóle tu w naszej świetlicy wygląda jak u prababci, akurat sto dwadzieścia lat temu...

I dyskusja rozgorzała z nową siłą. Początkowo na zebrań głosy padały niemrawo, jakoby oficjalnie brzmiały i wypowiedzi i zobowiązania, i krytyka. Dziewczęta chichotały coś do siebie po cichu, zagryzając wargi na widok groźnych spojrzeń przewodniczącego.

O dziewczętach przewodniczący spółdzielni Jan Stańko-

aby zbiory i hodowla w naszej spółdzielni były coraz lepsze. To będzie nasz czyn dla uczczenia II Zjazdu Partii.

W sprawie formalnej — podnosi ktoś palec. — A co będzie z poletkiem? — Władek zająknął się.

— Ano, z poletkiem nie było najlepiej.

SP z gminy zasadziło drzewka na hektarze, który otrzymała młodzież pod swoje zagospodarowanie. Ale młodym gospodarzom szybko przeszedł pierwszy porwy entuzjazmu. Przeszedł i nie wrócił. Coraz rzadziej zaglądali na swoje działki, które — niemiło powiedzieć — zarosły rośliną zgoła nieuprzną — perzem. Wolne przestrzenie między drzewkami zarośla wzdłuż traktorysta z



wiak mówi z uśmiechem. „Piołche to, bo młode. Ale rozumieją robotę.”

Przewodniczący mówi potem o Bronku Stachowiaku, przodującym ZMP-owcu. Pomaga traktorysty, był przy całej orce. Tutaj przewodniczący ożywa się, cichnie skrzywienie ławy spod pieca, gdzie siedzą dziewczęta.

— Wiecie wszyscy, że rok temu, kiedyśmy zakładali spółdzielnię, szło nam ciężko. Później i pospieszne były orki i siewy, zbiory też nam specjalnie nie wyszły. Tak.

Przewodniczący milknie na chwilę.

— Ale plan odstawić wykonaliśmy! Teraz chodzi o to, żeby także u nas tezy dziewiętnego Plenum weszły w życie. Żeby weszły każdemu w robotę. Musimy zebrać więcej w przyszłym roku! Lepiej więc uprawiliśmy pod żyto. Wiecie, że ożime sialiśmy selekcyjnym, a na 10 hektarach — zastosowaliśmy siew krzyżowy. Zbiory musimy mieć lepsze o co najmniej 30 procent! Tak. A poza tym zaczęliśmy z hodowla, mamy zakontraktowane 30 sztuk. Na koniec marca będą gotowe do odstawa, słowo honoru, mówi nasz oborowy Walkowiak. Zrobiliśmy kiszonki, paszy wystarczy. Wzrosło u nas produkcja, a wy, młodzie, nam w tej pracy pomożcie i myśle, że będziecie przodować.

— Będziemy! — mówi Władek Jakubowski, który jest przewodniczącym kół. — Prawda, dziewczęta? Proponuję podjęcie zobowiązania przedzjazdowego — młodzież ZMP będzie pracowała jak najlepiej,

POM-u, ale na poprzek chwasty żyją sobie dobrze. Młodzi zapomnieli, stracili jakoś ochotę...

Gdy o tym mówią, widać, że im wstyd. Dlatego nie piszmy więcej o tej sprawie. Wierzymy, że zobowiązanie stałej i troskliwej uprawy poletka, oczywiście dopisane do poprzedniego, będzie dotrzymane.

Kiedy mowa o świetlicy, to jakbyś kij wetknął w mrowisko:

— Do takiej świetlicy traktorem nie zaciągniesz!

— Zaprośilibyśmy jakiś zespół, ale wstyd pokazać na oczach takie coś...

— Brudno, ciemno, zimno.

Racja to, wszystko racja. Na ścianach wisi coś, co przy dobrej woli i szczerym optymizmie można nazwać dekoracją. Ze ścian farba pozłaziła i ulotniła się, wynoszona pracowicie przez lata na plecach i rękawach. Liczne dziury wskazuja na nie zawsze pozytywną i udaną inicjatywę wbijania gwoździ. Większość nielicznych zresztą krzesel cierpi na złośliwy reumatyzm. O stole już wspomniano. Jedynie pięć trzy ma się tutaj dosyć krzepko, choć rzadko w nim się coś dzieje.

— Ale skończmy z tym opisem, bo oto w wyniku pertraktacji z przewodniczącym spółdzielni, Władek ogłasza:

— A więc tak: ściany oskrobimy sami, spółdzielnia da farbę to się wymaluje. Dziewczęta wyszorują podłogę, okna i drzwi...

Spód pieca dobiegają głosy protestu, ale to widać, że tak

tylko z wielkiej ochoty do przekomarzenia się, co tarnowskie dziewczęta lubią bardzo, bardzo. Jeszcze sporo przygaduszek przy wyborze kierownika świetlicy. Wybrano Staska Wal-kowiaka. Roboty będzie niemało, choć wiadomo — pomoże mu całe koło. Świetlica musi być! A w niej zespoły — młodzież bardzo chce tańczyć. Na nowo rozpocznie pracę zespół czytelniczy, do dyplomu, jaki otrzymał dojdą z pewnością nowe.

— I co, wtedy też traktorem będziesz ciągnął? Sami przyjdą wszyscy, jak tylko ja odmalujemy i coś się będzie w niej działo!

I to właśnie przewodniczący Władek dopisuje jako punkt nr 3 zobowiązania przedzjazdowego.

Pogadano się jeszcze o tym i o owym. Głównie o tym, że opieka nad kołem w Tarnowie ze strony Zarządu Powiatowego ZMP — w odróżnieniu od opieki sekretarza organizacji partyjnej — jest bardzo słaba. Ścisłej — to jej wcale nie ma. Dziewczęta i chłopcy nie pamiętają, aby był u nich ktoś z Zarządu Powiatowego, by powiedział co i jak robić, by pomógł. Powiat woli od czasu do czasu zwoływać przewodniczących kół do siebie. I dopiero gdy przyjdzie się na gromadę do młodzieży, widać, że to za mało.

A oto inny przykład: od kilku tygodni przewodniczący kół nie może otrzymać formularzy dla nowostępujących.

Z tymi formularzami to była śmieszna historia. W ostatnich dniach wyglądało na to, że formularze wrzeszczą będa. — Mam je u siebie, w szufladzie stołu — mówi Władkowski przewodniczący Zarządu Gminnego w Czempińu. No i poszli razem do Prezydium GRN, gdzie stał normalnie ten stół. Wchodzi — przewodniczący Zarządu Gminnego łapie się za głowę. Gdzie stół? Nie ma. Był stół, nie ma stołu. Ktoś z urzędników gminy, kto już od dawna miał na stół apetyt, w ten oto prosty sposób zalał w sobie sprawę. Oszołomiony przewodniczący Zarządu Gminnego ruszył na poszukiwanie stołu, ale Władek Jakubowski znów wrócił do domu bez formularzy.

A przecież takie zwykłe biurokratyczne niedbalstwo jak sprawa formularzy — utrudnia powiększenie szeregów młodzieży zorganizowanej w tarnowskiej spółdzielni.

Chłopcy odprowadzili mnie aż nad tor kolejowy. Było ciemno, gwiazdy jakoś niechętnie wylażyły zza chmur. Rozmawialiśmy jeszcze o poletku, o świetlicy, o tym, żeby w Tarnowie Wielkim było lepiej, jaśniej, pogodniej.

— No tak — powiedział ktoś z nich. — Samo nam z nieba nie zleci. Musimy to zrobić sami. Będziecie kiedyś u nas? Przyjdziecie, zobaczycie, spotkamy się w innej świetlicy — w nowej i żywej.

Przeciwko Francji

„Jak tylko zachodnie Niemcy posiadać będą 20 dywizji, można będzie pomówić z panami Francuzami innym językiem.“

Frissner,
były generał armii hitlerowskiej

„Nie należy wiązać siebie na wieczne czasy zobowiązaniami w sprawie granic czy to na wschodzie czy na zachodzie.“

Guderian,
były generał armii hitlerowskiej

„Stworzenie rzeczywistej Europy możliwe jest tylko wówczas, gdy będzie odbudowany niemiecki blok. Przypominam, że oprócz Niemiec ten blok obejmuje Austrię, część Szwajcarii, naturalnie Zagłębie Saary, Alzację i Lotaryngię... Gdy myślę o katedrze w Strassburgu, ścisła mi się serce.“

Jakob Kaiser,
minister rządu w Bonn

„Nie Niemcy należy zjednoczyć z Europą, a Europę z Niemcami.“

Hans Zeebohm,
minister rządu w Bonn

„Flandria i kraj Fryzów, dolna Saksonia i Tyrol, Westfalia i Bawaria, Normandia i Bretania, pomimo ducha materialistycznego naszych czasów, pozostały wierne swej wspólnej krwi. To są kamienie węgielne, na których prawdziwi Europejczycy wzniosą jutro Święte Imperium Narodów i Społeczeństwa Zachodu.“

pismo: „Nation Europa“
wychodzące w Koblencji

„O ile 520 000 ludzi włączonych do armii niemieckiej nie zdołałoby może oprzeć się Rosjanom, to zupełnie inne efekty osiągnęlibyśmy w stosunku do Francuzów.“

Teodor Blank,
pełnomocnik rządu w Bonn do spraw „bezpieczeństwa“

„Zadaniem Europejskiej Organizacji będzie przywrócenie porządku w Europie, a w szczególności we Francji.“

Gazeta „Der Tag“, wychodząca w zachodnim Berlinie.

„Chcemy zwycięsko wybić Francję.“

Gazeta „Der Stahlhelm“, wychodząca w Kolonii.

W obronie Francji

„Nasz naród widzi niebezpieczeństwo, które zawisło nad Francją w związku z remilitaryzacją Niemiec. Uczestnicy Ruchu Oporu i Francuzi, w których pamięci pozostał 1939 rok, nie mogą pogodzić się z polityką izolacji Francji, znajdującej się w obliczu odwetowych i militarnych Niemiec. Umowa francusko-radziecka, zementowana krwią żołnierzy obydwojch krajów, krwią bohaterów eskadry Normandia-Niemien jest najpewniejszą gwarancją pokoju w Europie i bezpieczeństwa naszego kraju.“

Albert Usoulia,
sekretarz Międzynarodowej Federacji Kombatantów Ruchu Oporu

„Nie damy dokonać się przestępstwu, nie oddamy Francji na zatarcenie, nie pozwolimy rozgorzeć nowej wojnie. Odrzucenie umowy o Europejskiej Organizacji Obrony jest najlepszym środkiem zapobieżenia remilitaryzacji Niemiec.“

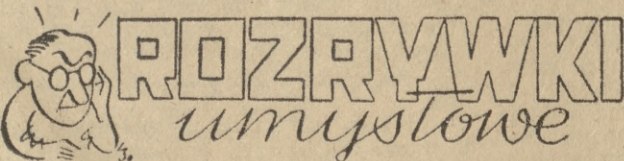
Aubertin,
wiceprezydent Rady Muncypalnej Paryża

„Straciliśmy już część naszej suwerenności. Jeżeli ratyfikacja nastąpi, to Adenauer osiągnie to, czego nie udało się zdobyć Hitlerowi drogą wojny.“

Louis Mariné,
były minister

„Kategorycznie protestuję przeciwko ratyfikacji umowy bonnskiej i paryskiej, które prowadzą do odrodzenia armii niemieckiej. Odrodzenie tej armii oznacza wojnę. Obserwowałem działalność Adenauera w okręgu Ren, Wiem, że armia europejska to tylko etap na drodze do przywrócenia niemieckiego potencjału wojennego. Wszystko to bezpośrednio zagraża Francji.“

Broons, generał,
radca muncypalny miasta Nancy



1. Konikówka noworoczna

NO	DOM	RO
RO	WY	WY SZCZĘ
KÓJ		KU
NO	NA	ŚCIE RO
PO	KU	DAJ

Ruchem konika szachowego odczytać rozwiązanie.

2. Urywanka literowa

Solidna jam ryba,
Nie żadna tam płotka.
Gdy urwiesz mi ogon,
To odwet Cię spotka.

3. Bilet wizytowy

A. Grzeski.

Jaki jest zawód tego obywatela?

Rozwiązanie zadań

z dnia 20 XII 1953 r.:

1. Czym powitam II Zjazd? Zwiększeniem wydajności pracy. Znaczenie rebusików: ości, rydwan, kije, miecz, nazwy, sep.

2. Układanki historyczno-literackie: I. Modrzewski (Modrzew — ski). II. Cezar (Cez — ar). III. Zeromski (Zer — om — ski). IV. Wara (War — na). V. Małewski (Ma — lew — ski).

Nagrody książkowe wylosowali:

K. Wicherzycka, Poznań, Gąsiorowskiego 11 m. 18, J. Bereźnicki, Poznań, Miodowa 25 m. 2, Kubiak Teresa, Poznań 18, Osiedle Płewiska 15, Biskupska Barbara, Wągrowiec, Piaskowa 37, Seweryna Banaszak, Słupca, pl. Szkolny 14, Pade Genowefa — Leśne Miłny, pow. Mogilno, Ewa Szule, Poznań, Sapieżyńska 59 m. 4, Janina Szule, Poznań, Saperska 59 m. 4, Frackowiak Róża, Poznań, Stary Rynek 61 m. 6, Dudkowiak Danuta, Leszno, Dzierżyńskiego 50.

Gdzie praktyka nie może... tam pomaga nauka

Ciszę gabinetu maci dobiegający zza ściany jednostajny szum maszyn. Promienie grunowatego słońca znaczą złotymi refleksami szyby stojącej tuż obok biurka biblioteki. Prof. mgr inż. FELKS TYCHOWSKI zastanawia się chwilę nad postawionym mu pytaniem, jakby chciał ustalić w jaki sposób ma mówić językiem łatwym o dość skomplikowanych sprawach.

— Widzi pan, redaktorze — sprawa powiązania teorii z praktyką występuje u nas ze szczególną wyrazistością. Właściwie trudno po prostu o jakieś ściśle rozgraniczenie, o ustalenie gdzie się kończy teoria, a zaczyna praktyka. Katedra Obróbki Ciepłej Szkół Inżynierskiej, która kieruje, dysponuje Zakładem Badania Metali i związana się mocno z przemysłem, czego dowodem jest choćby to, że w tym roku np. wykonaliśmy już 430 ekspertyz dla najróżniejszych zakładów z północno-zachodniej Polski. Dla uzyskania pełnego obrazu należy dodać, że katedra ściśle współpracuje z Instytutem Obróbki Plastycznej w Poznaniu, opracowującym najrozsławniejsze zagadnienia na zlecenie Ministerstwa Przemysłu Maszynowego.

— A jakie są główne kierunki prac Katedry?

Przede wszystkim: metaloznawstwo, obróbka cieplna i obróbka plastyczna. Zaczniemy od wspomnianych już przeze mnie ekspertyz. Otóż bardzo często zwracają się do nas różne zakłady z prośbą o wydanie orzeczenia, czy dany surowiec (metal) posiada jakieś wady, czy np. pewna blacha nadaje się na kotły dla lokomobili. Zdarzają się też uszko-

dzenia maszyn, co do których dyrekcje zakładów mają podejrzenia, iż mogły powstać z winy użytego do budowy urządzenia surowca. Badania te w konsekwencji sprawdzają się do podniesienia bezpieczeństwa pracy i zmniejszenia awaryjności.

— Wspominał pan profesor o obróbce cieplnej...

— Tak. Zaliczamy tu takie zabiegi, jak: hartowanie stali i na węglenie jej powierzchni dla utwardzenia. W tej dziedzinie mamy znaczne osiągnięcia. Przed pewnym czasem zwróciła się do nas pewna instytucja w następującej sprawie: Otóż na skutek braku niektórych części do traktorów pochodzenia zagranicznego — pewna ich ilość została unieruchomiona, bowiem próby wyprodukowania elementów zastępczych ze stali, jaka była do dyspozycji — nie dawały rezultatów. Chodziło teraz o to, czy gdybyśmy te, gotowe już, części — poddali u nas hartowaniu, czy wtedy pełniłyby one należycie swą służbę? Okazało się, że tak. Dzięki temu udało się nam pomóc w uruchomieniu znacznej ilości stojących bezczynnie traktorów.

— Jest to bezspornie cenne osiągnięcie.

— Warto dodać, że obecnie stosujemy u nas hartowanie indukcyjne, zamiast dawnego nawęglania w piecach. Nowa metoda szeroko stosowana w Związku Radzieckim, przede wszystkim potężnie skracając czas trwania operacji, hartowanie trwa tu dośłownie kilka sekund, zamiast kilku do kilkunastu godzin. Pozwala ona ponadto na wyeliminowanie pieców. Nie potrzeba także stosować do nawęglania soli, a cianki te były szkodliwe dla

zdrowia obsługi. Dobre wyniki, osiągnięte u nas w hartowaniu indukcyjnym (po raz pierwszy w Polsce), pozwalają także na zastępowanie droższych gatunków stali — tańszymi przez nagawanie im przy pomocy nowej metody cennych właściwości.

— Niewątpliwie są to osiągnięcia o wielkim znaczeniu dla całej naszej gospodarki. Czy zechciałby pan profesor, jako kierownik Instytutu Obróbki Plastycznej powiedzieć nam kilka słów również o bieżących pracach tej placówki naukowej?

— Napięciem może wyjąłoby sobie, czym różni się obróbka plastyczna od obróbki skrawaniem: otóż ta ostatnia opiera się na toczeniu, frezowaniu. Natomiast obróbka plastyczna to po prostu kucie, tłoczenie, czy wyciskanie. Dziś mamy tendencję do przechodzenia na obróbkę plastyczną, ponieważ daje ona znacznie mniej odpadów, jest więc znacznie ekonomiczniejsza. Obecnie prowadzimy intensywne prace nad najekonomiczniejszą metodą obróbki plastycznej: wyciskaniem. Polega ono na tym, że do cylindra wkładamy odpowiednią ilość metalu i naciskamy go stemplem, aż produkowany przedmiot zostanie wygnieciony. Eliminujemy tu szereg operacji pomocniczych, a odpady zostają w wielu wypadkach zlikwidowane do zera. Dokonywane przez nas próby przyniosły dodatnie wyniki. Oczywiście — najtrudniej ze „stała“. Obecnie przed II Zjazdem Partii staramy się przyspieszyć końcową fazę opracowania tej metody, aby mogła zostać jak najszybciej u powszechniona. Chodzi tu przecież o wielkie oszczędności na surowcu i robociznie, a więc o obniżkę kosztów własnych produkcji. A przecież takie m. in. zadania stawia przed nami IX Plenum Komitetu Centralnego Partii.

— Słyszeliśmy, iż zespół pracowników naukowych pod przewodnictwem pana profesora nawiązał współpracę z Fabryką Maszyn Złiwnych na Starolecie?

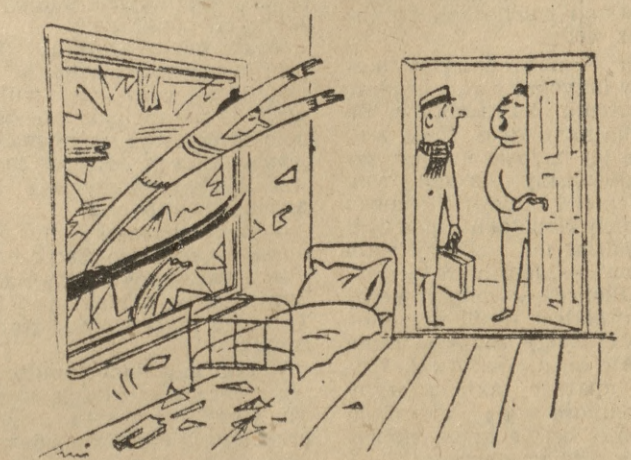
— Istotnie. Udzielamy im pomocy dla przyspieszenia uruchomienia produkcji. Chodzi tu o wskazanie przez nas, jak należy kształtować niektóre części?

— A plany na przyszłość?

— Ogólnie: jeszcze lepsze słuszenie praktyce, tzn.: przemysłowi, przede wszystkim maszynowemu, temu jądru naszego przemysłu ciężkiego. Zamierzamy się ponadto szerzej zająć zagadnieniami teoretycznymi: rentgenografia strukturalna, czyli badaniem budowy wewnętrznej kryształków metali oraz tensometria, czyli pomiarami naprężeń w metalach. Tak to byoby pokrótce wszystko. Acha, redaktorze, niech pan nie zapomni wspomnieć o jednym — profesor wskazał na półki zastawione radziecką literaturą techniczną, ogarniając ją ciepłym spojrzeniem — że te książki były cały czas z nami, że naprawdę nam dopomogły i pomagają stale w naszej pracy.

Wywiad przeprowadził:

PIOTR ŻYCKI



Dziwaczny rok

Będzie nim niezawodnie rok — dwudziesty. Nie tylko dlatego, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będziemy już raki to-busami latać na Księżyc, ani też z powodu, że Polska swym klimatem będzie konkurować z Riwierą, bo za pomocą pieców atomowych będziemy regulować ciepłotę powietrza. Nie — nie dlatego. Lada nam tu o pewne dzwacstwo natury astronomicznej, ściślej mówiąc — kalendarzowej. Zresztą oceńcie — sami!

Jak wiadomo, rok kalendarzowy wynosi normalnie 365 dni. Tyle czasu potrzebuje Ziemia do jednokrotnego okrążenia Słońca. Ale naprawdę, to ten czas obiegu jest o parę godzin dłuższy. Dlatego lata wyjątkowo — co cztery lata mamy rok przestępny, a wtedy miesiące luty liczy dni 29. Dla pamięci i kontroli ustalono, że lata, których liczba jest podzielna przez 4, są owymi latami przestępnymi. Był nim ostatnio — rok 1952. Będzie nim też — nasz rok 2000, bo ta liczba jest też podzielna przez 4.

Ale jest ona też podzielna przez 100. Wobec tego w myśl zasad kalendarza gregoriańskiego rok 2000 nie będzie rokiem przestępnym. Jednakże liczba 2000 jest też podzielna przez 400. Wobec tego rok 2000 będzie rokiem przestępnym!

Przypomina się gra „para-niepara“ albo dziewczyna na obrywkę piatki kwiatu i licząca „kocha — nie kocha!“. Jednakże mówimy przecież całkiem poważnie o kalendarzu! A tymczasem człowiek podejrzewa w tym jakieś złośliwość.

Otóż o kalendarzu gregoriańskim trzeba stwierdzić, że w tym rzekomym „szaleństwie“ tkwi metoda, oparta na rachunku. Naszym naturalnym zegarem jest Ziemia. Jej obrót dookoła osi znaczy nam okres czasu, zwane „dniami“. Jej obieg dookoła Słońca odmierza nam lata. Ale jak na złość, czas rocznego obiegu nie wynosi równej, tj. całkowitej liczby dni, lecz jeszcze z jakimś dodatkiem. Gdy ten dodatek, o wyciek parę godzin, minut i sekund przeliczymy na liczbę dziesiętną, wypadnie, że rok ma 365 dni i 0,242198 dnia.

Jakież teraz taki „ogonek“ uchwycić — kalendarzowo? Kalendarz gregoriański zatłumia się z tym fantem w taki sposób:

Rok zwykły liczy 365 dni. Dodatek 1 dnia raz na czterdzieści lat, czyli średnio na rok 0,25 dnia, wobec czego rok miałby 365,25 dnia.

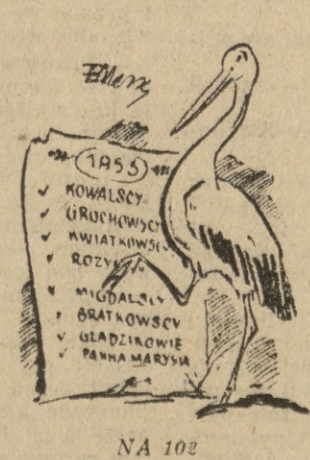
Ujęcie jednego dnia raz na 100 lat daje roczny ubytek 0,01 dnia, przez co rok skracają się do 365,24 dnia. A dodatek 1 dnia raz na 400 lat powiększa rok o 1/400 dnia czyli o 0,0025 dnia, co nam daje ostatecznie 365,2425 dnia jako średnią długość roku w skalach czterystuletniej.

Jak wyżej widzieliśmy, faktyczna długość roku astronomicznego wynosi 365,242198 dnia. Długość roku uzyskana w drodze reformy gregoriańskiej wypada na 365,2425 dnia. Różnica między tymi liczbami wynosi zaledwie 0,000302 dnia. O ten drobniak jest rok gregoriański dłuższy od astronomicznego.

W powyższy sposób, nieco zawirowany, jak się nam z początku zdawało, „nakrecony“ zegar gregoriański „spieszy“ w stosunku do astronomicznego o wykazaną minimalną różnicę. Mniej więcej po 4500 latach zrobi się z niej — jeden dzień. Wówczas trzeba będzie ten wiekowy zegar cofnąć o ten dzień. Ale tym niech się już martwią nasi potomkowie.

Jak widzicie, ten galimatias z rokiem 2000 jest właściwie regulowaniem zegara kalendarzowego tak, żeby „chodził“ możliwie najzgodniej z Ziemią, czyli z naszym naturalnym zegarem, mierzącym nam bez nakręcania — dni i lata.

E. BIAŁOBORSKI



Nagły wyjazd

Tego dnia Eugeniusz Kurganow obudził się wcześniej niż zwykle. Leżąc patrzył na białą ścianę swojego pokoju, po której powoli przesuwało się pasemko słońca.

Kilka dni temu odwiedziła stację doświadczalną, w której Kurganow pracował w charakterze starszego pracownika naukowego, specjalna komisja z Bakijskiego Instytutu Energetycznego, któremu stacja bezpośrednio podlegała. Od tego czasu dyrektor stacji, Antoni Kiryłowicz Saryczew i Dmitrij Astrow, młody utalentowany inżynier, którego Saryczew uważał za swojego ucznia i następcę, nagle jakoś się zmienili w stosunku do niego. Co prawda Dmitrij nigdy nie przeszył darem wymowy — a obecnie miał się nad czym głowić — więc jego milczenie i zadumę można było przy dobrych chęciach umotywować. Ale dlaczego Saryczew stał się taki nieprzystępny i rozdrażniony? Dlaczego tak niechętnie odpowiadał na pytania Kurganowa? Eugeniusz intensywnie myślał o tym wszystkim, gdy wtem ktoś bezceremonialnie zastukał w szybę. Eugeniusz uniósł się na łokciach i zobaczył w otwartym oknie szczupłą, zaszpełoną twarz Saryczewa.

— Wstawajcie, Eugeniuszu Mikołajewiczu — powiedział ponuro Saryczew.

— Trzeba jechać na zebranie do Komitetu. Zapomniałem was o tym wczoraj uprzedzić.

— Na jakie zebranie? — zdziwił się Eugeniusz.

— W sprawie nawadniania — odparł Antoni Kiryłowicz, ziewając i pocierając świeżo ogolony policzek. — Organizuje je Komitet Rejonowy Partii. Zaproszono między innymi, was i Astrowa. Musimy jechać. Zbierajcie się Eugeniuszu Mikołajewiczu, zaczekam na was w aucie.

Po upływie piętnastu minut Kurganow był gotów do drogi.

Mechanik Eugeniusza, Asmar Ragimow uchylił za najlepszego szofera stacji i Saryczew wybierając się w dłuższą podróż zazwyczaj brał go z sobą. Tym razem również postanowił wziąć Ragimowa.

Kurganow nie miał nic przeciw temu. Kazał jedynie Asmarowi zgasić przed wyjazdem ogień swojej paraboloidalnej instalacji — maszyny słonecznej, koncentrującej za pomocą olbrzymiej wklęsłej lustrzanej czaszy odbite promienie słoneczne w wąską wiązkę na helikopter, który wydzieliał parę o wysokim ciśnieniu.

Asmar wyłączył zwrotny mechanizm paraboloidy, automatycznie nastawiający lustrzaną powierzchnię prostopadle do promieni słonecznych. Czasza momentalnie pociemniała, tracąc cały swój blask.

Eugeniusz podszedł do samochodu i stwierdził, że nie ma w nim Dmitrija.

— Astrowa jeszcze nie ma? — zapytał zdziwiony.

— Nie ma i nie będzie — odparł zniecierpliwiony Antoni Kiryłowicz.

— Przecież nie mogę z powodu tego zebrania wstrzymać wszystkich prac stacji. Chyba wiecie, jak niesłychanie zajęty jest ostatnio Dmitrij Iwanowicz?

— Czy zawiadomiliście go o tym zebraniu?

— Tak, — wycedził przez zęby Antoni Kiryłowicz, — ale on ma teraz co innego w głowie.

— To zebranie mogłoby mu się przydać — zauważył Kurganow, wsiadając do auta.

— Wam oczywiście ono jest na rękę, — burknął, zniżając głos Saryczew — a jemu — jakby to powiedzieć...



Eugeniusz gwałtownie obrócił się do Antoniego Kiryłowicza i oświadczył z hamowaną pasją:

— Zebranie to jest najbardziej na rękę kolchozowemu gospodarstwu rolnym rejonu.

Saryczew skrzywił się i pominął to milczeniem.

— Zapuszczaj motor, Asmarze — zwrócił się do szofera.

Po kilku minutach jazdy Antoni Kiryłowicz zagadnął Kurganowa:

— Nie rozumiem do czego ja i Astrow jesteśmy im potrzebni na tym zebraniu? Wasza obecność, jako członka partii jest na nim obowiązkowa, ale po co wzywać nas, bezpartyjnych, na zebranie w Komitecie Rejonowym?

— Kto was wzywał, Antoni Kiryłowiczu — zachnął się Eugeniusz i zmarszczył brwi. — Was zaproszono. Przecież mogliście nie jechać, skoro uważacie, że nawadnianie pól kolchozowych jest sprawą wyłącznie partyjną. Waszym zdaniem bezpartyjni uczo-ny, pracujący w strefie posuchy Azerbejdżanu nie powinni się interesować podobnymi problemami?

PROMIENNY ŚLAD

TEKMACZYKA ALICJA TESARI

— Co za zgrzytliwość — rzekł Saryczew i odwrócił się oburzony.

Ale Eugeniusz nie miał zamiaru przerwać na tym rozmowy.

— Nie, pozwólcie mi się wypowiedzieć do końca, Antoni Kiryłowiczu — ciągnął zrytowany. — Myślicie, że nie rozumiem dlaczego zmieniliście się od pewnego czasu w stosunku do mnie? Nie możecie mi darować, że na skutek mojego raportu przyjechała komisja z instytutu? Czy to jednak było dla was niespodzianką? Czy nie żądałem od was właśnie tego, czego zażądała komisja?

Saryczew ironicznie zmrużył oczy. Eugeniusz w dalszym ciągu robił mu wyrzuty.

— Zarówno ja, jak i pozostali pracownicy stacji: niejednokrotnie zwracali się do was z prośbą, o przeniesienie naszych słonecznych instalacji z „cieplarnianej” atmosfery stacji eksperymentalnej na obszary pól kolchozowych i dokończenie tam prób. Czy zgodziliście się na to?

— Dopiełgście swego — rzekł wreszcie Saryczew. — Dzięki wam skończyła się praca naukowa. Prześliśmy być eksperymetatorami, staliśmy się praktykantami kolchozowymi.

— Widzę, że dzisiaj nie można się z wami dogadać — oświadczył Eugeniusz i oparłszy się o poduszki wozu nie powiedział do końca podróży ani słowa.

Antoni Kiryłowicz milczał również. Asmar nucił półgłosem jakąś azerbejdżańską piosenkę. Na pozór nie zwracał uwagi na rozmowę prowadzoną w aucie, ale Kurganow wiedział, że Asmar żywo interesuje się wszystkimi sprawami związanymi ze stacją doświadczalną.

Samied Mamiedow marzy o złotym osie

Przed gmach Komitetu Rejonowego zajęchal: koło dziesiątej. Pierwszy sekretarz Komitetu, Dżafarow, powitał ich serdecznie: — Aaa, uczeni! Saleem alejkum! Jesteście punktualni. Chodźcie, trzeba zacząć zebranie.

Powołano ich do prezydium. Kurganow usiadł koło Dżafarowa. Sekretarz podawał mu szepem krótką charakterystykę każdego mówcy. Kiedy na podium wszedł przewodniczący kolchozu „Pierwszego Maja” Samied Mamiedow, Dżafarow zaznaczył:

— Bardzo ciekawy człowiek. Najlepszy w okręgu selekcjoner bawełny. Samied Mamiedow tegi, wysoki mężczyzna, poprawił na ogolonej głowie barwną krymkę, wyjął z kieszeni bluzy kroju wojskowego jakąś kartkę i nie zaglądając do niej z zapalem zaczął opisywać walkę swojego kolchozu o wyhodowanie nowego, wczesnego gatunku bawełny. Zebrani usłyszeli wzruszającą historię o tym, jak rok za rokiem otrzymywano doskonalszy rodzaj, jak w końcu jakość radzieckiej bawełny nie tylko zrównała się z jakością wspaniałych egipskich gatunków: „Pim”, „Maharad”, „Szreder”, ale ją przewyższyła, ponieważ radziecka odmiana dawała obfite plony, szybciej dojrzewała i miała dłuższe włókno.

— Obecnie poddajemy próbie najnowszy gatunek — mówił z entuzjazmem Samied Mamiedow. — To pupilek naszego kolchozu. Powinien dać takie zbiory o jakich się dotychczas nikomu nie śniło. Ale mamy kłopot — grozi nam posucha. Pola bawełniane nawadniamy wodą z pobliskiego stawu, który do niedawna jeszcze wysychał w okresie częstych suszy. Ostatnio zasadziliśmy wokół niego drzewa. Poziom wody zaczął się z roku na rok podnosić, ale i tak ciągle jej jest za mało. A poza tym nie płynie na pola bawełniane sama przez się. Wiele sił tracimy na doprowadzanie jej do kanałów irygacyjnych. Tegoroczne lato jest wyjątkowo upalne. Trzeba by postawić silną pompę, aby dostatecznie nawodnić pola. A takiej pompy narazie nie mamy. Paskudne perspektywy! Bawełna może zostać bez wody. Pytamy co zrobić? Jak ocalić pola? Czym podnieść wodę w stawie?

Zebrani w skupieniu słuchali Mamiedowa. Wszyscy mieli tego rodzaju zmartwienia — rzeczywiście, lato było wyjątkowo suche i prawie we wszystkich kolchozach dotkliwie odczuwano brak wody.

— Prosty wniosek — mówił dalej Mamiedow — nie możemy liczyć na ciągłe urodzaje bez stałego systemu nawadniania. Za sadzone lasy chronią nam wodę. Woda jest, lecz doprowadzenie jej na pola nie jest takie proste. Długo głowiliśmy się nad tym, jakby to zrobić lepiej i taniej. Niedawno rozmawiałem o swoich kłopotach z pewnym uczoneym — powiedział mi: „Damy wam wody pod dostatkiem”. — „Kto nam ją da?” — zapytałem. — „Słońce”, — odparł uczoney. „Słońce!” — zawołałem. — „Słońce, które spala nasze pola? Żarty sobie ze mnie stroicie, czy co?” Ale on nie żartował. Wyjaśnił, że są takie aparaty, takie maszyny słoneczne, które podniosą wodę i nawodnią nasze pola. Im silniej będzie grać słońce, tym sprawniej będą działać maszyny.

Samied Mamiedow podkreślił szpakowatą wargę i promiennym wzrokiem powiódł po

Mikołaj Toman

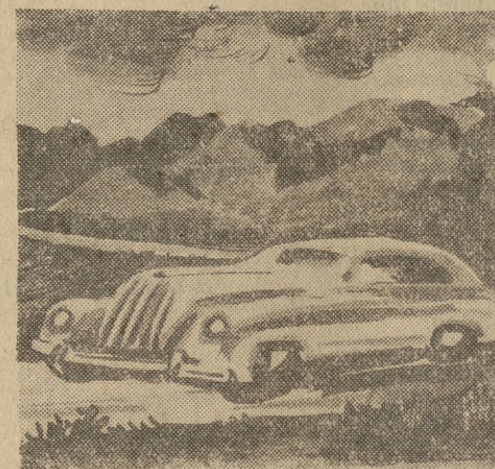
sali. Rad był z wrażenia, jakie wywarły na obecnych jego słowa i uroczyście dodał:

— Maszyny te doprowadzą wodę do wrzenia, woda zacznie parować, para uruchomi pompy, pompy podniosą wodę na wysokie odcinki górskie, najdotkliwiej odczuwające suszę i nawet te pola, po których najmniej obiecywałem sobie przyniosą obfite plony. Dżafarow, uśmiechając się lekko trącił Kurganowa łokciem i szepnął:

— Rozumiecie teraz po co tu jesteście?

A Samied Mamiedow wpadał w coraz większy zapal. Machając rękoma, omal nie strącił na podłogę szklanki z wodą.

— Okazuje się — mówił — że nasze azerbejdżańskie słońce może być pomocne dla naszych azerbejdżańskich kolchozów. Chcecie suszyć owoce? Nie łatwiejszego, słońce to robi — są suszarnie słoneczne. Potrzebna woda w łaźni? Jest łaźnia słoneczna, najtańsza w świecie. Życie sobie wrzasku na herbatę? Proszę bardzo — mamy słoneczny kocioł do gotowania wody. Macie ochotę na żur? I w tym wypadku słońce wywiąże się ze swojego zadania: istnieje kuchnia słoneczna. Zastanawiacie się,



jak zamrozić rybę lub mięso? Przecież zbudowano chłodnie słoneczne, w których słońce odpowiednio obniża temperaturę. Czy to nie cuda? Samied Mamiedow pospieszenie zapiał kołnierza, jakby mu się nagle zrobiło zimno. Powiódł po sali wzrokiem pełnym godności i dodał:

— Ale to jeszcze nie wszystko. Słońce może nam dać światło elektryczne. W każdym domu będzie własna elektrownia. Na dachach ustawimy specjalne baterie, baterie te nadszają się słońcem i w nocy zapłoną żarówkami elektrycznymi. Oto jaka jest siła słońca. Nasi uczeni podporządkowali ten żywioł człowiekowi. Ujarmili słońce. Będziemy go teraz prowadzić za udeję jak złotego osła.

Słuchacze uśmiechali się, przypadło im do gustu przemówienie Samieda Mamiedowicza. Jakś starszek krzyknął podniecony:

— Dobry osioł zawsze się przyda w gospodarstwie! Dajcie go nam jak najszybciej, towarzysze naukowcy!

W czasie burzy

Na drugi dzień złapał Saryczewa i Kurganowa w drodze powrotnej huragan. Zebranie co prawda zakończyło się wczoraj, ale Saryczew skorzystał z okazji i odwiedził swoją rodzinę mieszkającą w śródmieściu. Eugeniusz musiał na niego czekać. Ledwo wyjechali za miasto zachmurzyło się. Niebo przerzynały osłepiające zygzaki, błyskawice, z którymi natychmiast następowały suche grzmoty. Mieli wrażenie, że ktoś zrzuca bomby, starając się trafić w auto.

Góry, zazwyczaj doskonale widoczne przysłoniła gęsta mgła. Zerwał się niesłychanie silny wiatr. Od dawna nie było w tych stronach takiego huraganu. Wydawało się, że wichura łada moment oderwie samochód od szosy i ciśnie nim o ziemię. Asmar nie zmniejszając szybkości mknął naprzód, jak gdyby chciał przegonić burzę.

Eugeniusz myślał mimo woli o stacji energetycznej: o swoim paraboloidalnym urządzeniu, wznoszącym się na płaskim placu; o olbrzymich odcinkach szklanych sekcji grzejników wody; o kołach, które przypominały gigantyczne pulpity wsparte na metalowych podstawach...

Wiatr buszował teraz między nimi. Czy pracownicy stacji zdążą je umocować, ścignąć bliżej ziemi, zachowując środki ostrożności. O paraboloidę nie obawiał się. Paraboloida powinna wytrzymać: wypróbował ją jeszcze jako model przy bardzo silnym wietrze. Ale czy wytrzymają hamulce mechanizmów zwrotnych?

— Może przejechać huragan — zaproponował bezosobowo Saryczew.

— Przecież! — zawołał ze zdziwieniem Eugeniusz. — Trzeba pędzić na pełny gaz. Ta burza może się dać stacji porządnie we znaki!

W tym momencie gwałtowny porыв wiatru z taką wściekłością napadł na auto, że wóz zrobił pół obrotu i znalazł się w poprzek szosy. Saryczew uderzył głową o przednią szybę, zmeł w zębach, przekleństwo i krzyknął:

— Stop! Ani kroku dalej!

Kazał Asmarowi stanąć, szarpnął drzwi — i wyszedł.

— Dyrektor ma pietra — szepnął z uśmiechem Asmar.

Kurganow równieży wysiadł z samochodu i zdecydowanie oświadczył Saryczewowi:

— Jeżeli macie ochotę tutaj zostać i prze- czekać tę burzę — to czekajcie, ale mnie pozwólcie jechać.

Ignorując słowa Eugeniusza, Saryczew powiedział szoferowi:

— Asmarze, odprowadź auto w jakieś zaciszne miejsce.

— Tuaj nie ma żadnego zaciszniejszego miejsca, Antoni Kiryłowiczu — odparł Asmar.

— Musimy jechać, nie ma rady. W odległości pięciu kilometrów znajduje się wioska.

Saryczew zaklął, splunął i wrócił do wozu.

— Tylko nie gon jak wariat — rzucił w stronę Asmara i rzekł ironicznie do Kurganowa: — Nie przypuszczacie, czypa Eugeniuszu Mikołajewiczu, że mniej od was niepokoję się o los powierzonej mi stacji?

— Nie wolno nam tracić ani minuty, Antoni Kiryłowiczu — odparł Kurganow. — Tak silny wiatr może uszkodzić nasze urządzenia słoneczne i to właśnie teraz, kiedy powinny być w „pełnym rynsztunku”. Mam nadzieję, że po wczorajszym zebraniu zrozumieliśmy, czego od nas oczekują kolchozy? Czy nie jest dla was obecnie jasne, że naszym głównym zadaniem, powiedziałbym nawet, naszym najswęszym zadaniem — jest udzielenie jak najwydatniejszej pomocy kolchozom? Zresztą to będzie najlepsze świadectwo dojrzałości dla naszych maszyn słonecznych!

— Nie mamy na razie na to odpowiednich środków, aby efektywnie wspomóc kolchozom — niedługo odziedziczy Saryczew.

— Nieprawda, mamy! — górczo zaprzeczył Kurganow. — I komisja to potwierdza.

— Dlaczego za każdym razem odwołujecie się do autorytetu tej komisji — wybuchnął Saryczew, odwracając do Kurganowa postwią z wściekłością twarz. — Czy przypadkiem nie dlatego, że wydała korzystne dla was zarządzenie?

Krew uderzyła Eugeniuszowi do głowy, ale zacisnął zęby i odczekał się prawie spokojnie:

— Nie wyprowadzą mnie z równowagi wasze obelgi Antoni Kiryłowiczu. Tu niewchodzą w grę korzyści indywidualne. Po prostu trzeba wspomóc kolchozów, który przegrywają wyścig z naturą, w nasiona dla uprawy bawełny w Azerbejdżanie.

— Dopuszcz! — zawołał Saryczew. — Ale w jaki sposób? Czy mamy się zająć wyłącznie instalacją waszej paraboloidy? Musielibysmy wobec tego przerwać wszystkie pozostałe prace naukowe. Nie, nigdy się na to nie zgodzę! W pierwszym rzędzie jestem uczoneym i moim głównym zadaniem są eksperymenty, szukanie nowych możliwości technicznych. Gotowe maszyny niech sobie instalują w kolchozach, czy gdzie indziej inżynierowie — praktycy.

— Jak możecie szukać nowych metod — zauważył Eugeniusz — skoro nie wiecie, jakie są ostatnio potrzeby naszej gospodarki narodowej? Wyobraźcie moją ostrość, ale odcierwiliście się od życia, zapieśnialiście w tej swojej stacji... Wszyscy zdają sobie sprawę, a między innymi i Astrow, że baterie fotoelektryczne, które są waszym oczkiem w głowie, nie mogą dać na razie nic więcej nad to, co już dają. To oczywiście za mało, ale można by dla nich znaleźć jakieś zastosowanie praktyczne. Wy nie chcecie jednak o tym słyszeć, wniesliście protest przeciwko orzeczeniu komisji, odmawiacie wykonania jej zarządzeń...

— Tak, odmawiam! — wrzasnął Saryczew, nerwowo wznosząc ramionami.

— Czytańście, co pisał o was w irańskim dzienniku „Rej oft fajt”!

— Nie, nie czytuję tego szmatławca, — powiedział pogardliwie Eugeniusz. — Takie tam ono i irańskie — „Rej oft fajt”!

— Irańczycy dali mu angielską nazwę, — odparł Saryczew — w dowód szacunku dla amerykańskiej firmy subsydjującej ich towarzystwo techniczne — naukowe. Ale nie o to chodzi. W ostatnim artykule poświęconym zagadnieniu wykorzystywania energii słonecznej, wyrazili się bardzo pochlebnie o bateriach fotoelektrycznych Dmitrija Iwanowicza Astrowa. Autor, wielki irański uczoney Szarif zapoznał się z nimi bawiąc, jak wiecie, w naszej stacji wiosną tego roku.

Nazwisko Astrowa umieścił w swoim artykule obok nazwiska słynnego amerykańskiego inżyniera Orsona Klifforda

— No to co? — zapytał naiwnie Kurganow.

— Jak to „co”? Czyż nie potraficie pojąć, że nauka zagraniczna kapituluje wobec naszych osiągnięć techniczno — naukowych? że jest zmuszona uznać nasze zdobycze w dziedzinie wykorzystywania energii słonecznej?

— Ah, więc wy to rozumiecie w ten sposób? — zdziwił się Kurganow.

— A jakże to można rozumieć inaczej? — zawołał zaperzony Antoni Kiryłowicz. — Nasz instytut powinien skorzystać z podobnej okazji i dokonać wszelkich starań, aby nadal dźwierzyć palmę pierwszeństwa w zakresie wykorzystywania energii słonecznej za pomocą komórki fotoelektrycznej. A co się u nas zamast tego dzieje? Zmuszają nas do zaprzestania niemal wszystkich prac nad bateriami. Astrowa i skoncentrowania całej uwagi na urządzenie kolchozów!

Eugeniusz ze zdumieniem patrzył na Saryczewa. Niepojęta była dla niego logika Antoniego Kiryłowicza; wydawało mu się, że okres, w którym niektórzy radzeczy uczeni kornie chylił czoła przed zagranicznymi autorytetami, należy do zamierzchłej przeszłości, a tu nagle okazuje się, że Saryczew jest dumny ze wzmianki o Astrowie w irańskim dzienniku i z umieszczenia jego nazwiska obok Orsona Klifforda

(Ciąg dalszy w numerze wtorkowym „Głosu Wielkopolskiego“)